Od listopadowych wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych, w których drugą kadencję wywalczył sobie Barack Obama, zadając przy tym bolesną porażkę Mittowi Romney'owi, trwa dyskusja, co dalej z Partią Republikańską?

Głosy są podzielone

Amerykańska lewica – czy też jak się ją określa za oceanem – frakcja liberalna ewentualnie progresywna – błyskawicznie ogłosiła polityczną śmierć swoich przeciwników. Ich zdaniem program, wartości oraz rozwiązania, za którymi opowiada się GOP (*Great Old Party* – popularne określenie Partii Republikańskiej) pozostają tak bardzo anachroniczne, że republikanie w dzisiejszych realiach są zwyczajnie skazani na porażkę.

Na prawicy nie ma w tej kwestii zgody. Część konserwatywnych elit uważa, że z partią wszystko jest w jak najlepszym porządku, a listopadowa porażka ich kandydata nic oznacza, jakoby republikanie znaleźli się w kryzysie. Są przede wszystkim tzw. „starsi, biali goście" (ang. *old, white guys*), pełniący od lat funkcje „ republikańskich strategów" – wcześniej w administracjach kolejnych prezydentów z ramienia GOP, a dziś w konserwatywnych mediach lub think tankach. Do ich grona zaliczają się znani i popularni „konserwatywni guru" tacy, jak Karl Rove, Newt Gingrich, Sean Hannity czy Rush Limbaugh.

Pozostaw to pole puste, jeśli jesteś człowiekiem:

Opowiadają się oni przeciwko dokonywaniu jakichkolwiek zmian w programie GOP. Listopadowa porażka, ich zdaniem, nastąpiła z powodu nieodpowiedniej strategii wyborczej Romney'a. Innymi słowy: to nie wizja funkcjonowania państwa, gospodarki i społeczeństwa proponowana przez republikanów jest zła – zły był jedynie sposób, w którym została ona przedstawiona wyborcom w ostatnich wyborach.

Inna część republikanów prezentuje nieco bardziej krytyczne stanowisko. Wyciągając wnioski z jesiennej porażki, stwierdza, że bez zmian w partii, GOP nie będzie w stanie w przyszłości przejąć władzy ani w Białym Domu, ani w Kongresie. Do tej grupy zlicza się przede wszystkim młodsze pokolenie amerykańskich konserwatystów, takich jak latynoski senator z Florydy Marco Rubio czy kandydat na

wiceprezydenta w listopadowych wyborach kongresmen z Wisconsin, Paul Ryan, ale też nieco starszy od nich były gubernator Florydy oraz młodszy brat poprzednika Obamy, G.W. Busha, Jeb Bush.

Nadzieja w zmianie

Prawda, jak zwykle, wydaje się leżeć gdzieś po środku. Przyszłość partii republikańskiej ani nie rysuje się w tak czarnych barwach, jak twierdzą demokraci, ani nie jest tak świetlana, jak uważa część republikanów. Prawica nadal ma ogromne szanse na wyborcze zwycięstwa i rządzenie Ameryką. Aby tak się stało, republikanie muszą jednak zdecydować się na coś, czego konserwatyści wyjątkowo nie lubią – na zmianę. Co ciekawe, chodzi o zmianę dość nietypową – GOP powinna, bowiem zamienić się w… samą siebie sprzed ponad 150 lat i na powrót stać się partią prezydenta Abrahama Lincolna.

Wydaje się, że na przestrzeni lat partia republikańska pogubiła się w kwestii wartości, za którymi powinna stać, o które powinna walczyć i które ma promować. A w przypadkach kryzysu tożsamości, z jakim w dużej mierze zmaga się dziś GOP – jak zalecają specjaliści – warto powrócić do korzeni. Partia republikańska powinna być na powrót partią wolności oraz możliwości, w tym gospodarczych, dla wszystkich obywateli, a w szczególności dla klasy średniej, tak jak miało to miejsce, gdy powstawała w 1854 r. Jej hasło w tamtym czasie brzmiało: „wolna praca, wolna ziemia, wolni ludzie” (ang. *free labor, free land, free men*).

Fakt, że amerykańska prawica nie potrzebuje żadnej rewolucji potwierdzają sondażowe badania ”*exit polls*” wykonane w dniu wyborów prezydenckich. Badania te, bowiem potwierdzają, że większość amerykańskiego społeczeństwa nadal popiera konserwatywne wartości oraz model funkcjonowania państwa i społeczeństwa.

Według najstarszego na świecie ośrodka badania opinii społecznej – Instytutu Gallupa większość Amerykanów (51 proc.) wrzucając głos do urn wyborczych, opowiedziało się za ograniczoną rolą rządu, uznając jednocześnie, że obecnie za bardzo ingeruje on w życie obywateli. Co więcej, ponad połowa amerykańskich kobiet (52 proc.) opowiedziała się przeciwko aborcji na żądanie, popierając rozwiązanie, które w Polsce znamy, jako „kompromis aborcyjny”. Nadal również najwięcej Amerykanów (40 proc.) identyfikuje się z konserwatywnym światopoglądem, podczas gdy już tylko 25 proc. określa siebie mianem liberalnej lewicy.

Klasa średnia oraz „nowi" Amerykanie

Nie należy jednak poddawać się zbytniemu optymizmowi – te same badania wskazują, że klasa średnia odwraca się od partii republikańskiej, coraz częściej uważając ją, za ugrupowanie plutokratów, dbających jedynie o własne interesy. 52 proc. wyborców z listopada uznało, że kandydat republikanów, jako prezydent USA dbać będzie przede wszystkim o interesy najbogatszych, a nie przeciętnych Amerykanów. Bez poparcia tej grupy społecznej nie da się w USA wygrać wyborów. Do klasy średniej zalicza się bowiem ok. 90 proc. Amerykanów. A zatem republikanie, by przetrwać będą musieli przekonać rodaków, że nie są partią elit i ludzi bogatych, jak uważa dziś większość społeczeństwa.

Co więcej "*exit polls*" wskazały również na zachodzące w Stanach w ostatnim dziesięcioleciu zmiany demograficzne, które GOP musi zacząć brać pod uwagę w swoich dalszych działaniach. Według badań aż 71 proc. Latynosów oddało swój głos na Baracka Obamę, podczas gdy jedynie 27 proc. z nich zdecydowało się poprzeć Mitta Romney'a. Mniejszość ta stanowi dziś aż 16 proc. całej populacji USA. Jest jednocześnie grupą charakteryzującą się największym przyrostem naturalnym. Według danych ze spisu ludności przeprowadzonego w 2010 r., w latach 2000-2010 liczba amerykańskich Latynosów wzrosła o 43 proc., podczas gdy cała populacja Stanów Zjednoczonych zwiększyła się w tym czasie jedynie o niecałe 10 proc. Innymi słowy: w ciągu tych dziesięciu lat łącznie przybyło prawie 28 milionów Amerykanów, z których aż 15 milionów stanowili Latynosi.

Powyższe liczby mówią same za siebie: hiszpańskojęzyczni Amerykanie to demograficzna przyszłość Stanów Zjednoczonych. Jeśli republikanom nie uda się pozyskać Latynosów, będzie im bardzo trudno wygrać wybory. Powrót do partii promującej możliwości rozwoju całego społeczeństwa, powinien, w połączeniu z bardziej liberalnym podejściem GOP do kwestii imigracyjnych, z dobrym skutkiem przeciągnąć Latynosów na prawą stronę politycznego spektrum.

GOP musi zacząć gonić zmieniające się oblicze Ameryki, a w szczególności przeanalizować dynamicznie postępujące zmiany demograficzne. Struktura ludności Stanów Zjednoczonych zmienia się nie tylko pod względem etnicznym, ale również pod względem wieku.

Pokolenia Amerykanów urodzonych przed II wojną światową oraz powojenne pokolenie "*baby boomers*" odchodzą powoli w cień. Już po raz drugi z kolei młodzi ludzi (między 18. a 29. rokiem życia), którzy stanowią dziś 19 proc. wszystkich

wyborców w Ameryce, zadecydowali o wyniku wyborów prezydenckich – aż 60 proc. z nich oddała swój głos na Baracka Obamę.

Partia republikańska musi koniecznie odmłodzić swój establishment, który w bardzo dużym stopniu zdominowany jest przez przedstawicieli pokolenia dziadków i rodziców dzisiejszej amerykańskiej młodzieży.

Taka zmiana pokoleniowa nie musi wcale oznaczać, wbrew obawom niektórych, odejścia od prawicowego systemu wartości. Nieprawdą jest bowiem stereotypowe zresztą twierdzenie, że większość ludzi młodych posiada poglądy lewicowe bądź liberalne. Według sondażu przeprowadzonego w październiku ubiegłego roku przez Instytut Studiów Politycznych Uniwersytetu Harvarda 42 proc. 18- i 19-latków określa siebie jako konserwatystów. Tylko jedna trzecia z nich uważa się zaś za liberałów.

Proporcje te odwracają się w przedziale wiekowym 20-30 lat – dwie trzecie młodych w tej grupie wiekowej stwierdza, że posiada poglądy lewicowe, a jedynie jedna trzecia identyfikuje się z przekonaniami prawicowymi. Nie bez wpływu na tą zmianę poglądów młodych po przekroczeniu progu dwudziestu lat ma bierność partii republikańskiej w kwestii pozyskiwania młodych.

Co zrobić? Organizacje młodzieżowe takie jak ”*Young Republicans*”, czy ”*College Republicans*” działające prężnie, przede wszystkim w środowiskach akademickich, nie wystarczą. Nawet najlepsi młodzieżowi aktywiści nie będą, bowiem w stanie przyciągnąć młodych do partii kojarzonej głównie ze wspomnianymi na początku „białymi starcami”.

Nie pomoże również prezydent Reagan, który od lat 80-tych niezmiennie stanowi ikonę partii republikańskiej. Większość młodych urodziła się, bowiem wtedy, kiedy nie był on już prezydentem. Jeden z najlepszych prezydentów USA nie jest dzisiaj dla młodych ani idolem, ani inspiracją. Jest raczej postacią z dawnych czasów, które znają oni dziś jedynie z opowieści rodziców oraz z podręczników do historii.

Ponadto, promowana przez niego w latach 80-tych ekonomia podażowa (ang. *supply-side economics*), zwana też reaganomiką, która poprzez obniżanie podatków (w tym najbogatszym) miałaby zgodnie z zasadą „z góry na dół” (ang. *trickle down*) przyczynić się do wzrostu gospodarczego, w odczuciu znacznej części społeczeństwa nie przyniosła pożądanych rezultatów, co na pewno nie dodaje byłemu prezydentowi popularności.

Powrót do korzeni republikanizmu

Zdecydowanie lepszym idolem byłby dla nich prezydent Lincoln, który – choć z czasów jeszcze odleglejszych – do dziś jest bohaterem amerykańskiej pop-kultury. Wystarczy wspomnieć, że tylko w poprzednim roku powstały dwa filmy poświęcone „Uczciwemu Abowi", jak nazywa się prezydenta Lincolna, w tym film Stevena Spilberga pt. „Lincoln", który zdobył aż siedem nominacji do Oscara.

Wymiana pokoleń na prawicy poniekąd już się zaczęła. Szlaki od kilku lat przecierają młodzi politycy, tacy jak wspomniany już wcześniej, senator Marco Rubio z Florydy, pani senator z New Hempshire *Kelly Ayotte, pani gubernator Południowej Karoliny, Nikki Halley czy gubernator Luizjany Bobby Jindal. Oni wszyscy nie tylko reprezentują młode pokolenie, ale często również poprzez swoje pochodzenie, stanowią odpowiedź dla nowych wyzwań demograficznych, którym musi sprostać partia. Rubio jest synem Kubańczyków, którzy uciekli przed reżimem Fidela Castro, Jindal i Halley to z kolei dzieci imigrantów z Indii oraz pierwsi w historii USA gubernatorowie o hinduskim pochodzeniu. Kilkunastu nawet bardzo dobrych i świetnie rokujących polityków reprezentujących młode pokolenie to jednak w skali całego kraju zbyt mało. GOP musi zatem przedsięwziąć kroki, by w ich ślady poszli inni, którzy będą wcielać w życie spuściznę prezydenta Lincolna kojarzonego* dziś głównie ze swoich osiągnięć podczas amerykańskiej wojny secesyjnej oraz walki na rzecz zniesienia niewolnictwa w USA. Mało kto orientuje się w innych – niemniej istotnych osiągnięciach „Uczciwego Aba", szczególnie tych z dziedziny ekonomii. Często również rysuje się go jako socjalistę oraz zwolennika interwencjonizmu państwowego. Nic bardziej mylnego – prezydent Lincoln był zdecydowanym zwolennikiem kapitalizmu – wierzył i popierał indywidualną inicjatywę, handel oraz przepływ kapitału. Uważał jednak, słusznie zresztą, że państwo może i powinno w niektórych wypadkach wspierać rozwój gospodarczy.

Lincoln, w przeciwieństwie do części dzisiejszych polityków, wiedział, że unia nie będzie w stanie się rozwijać, jeśli nie będzie się rozwijać klasa średnia. W tym celu podjął on szereg inicjatyw, które miały wspierać klasę średnią. Jednym z najistotniejszych było przegłosowanie tzw. "Homestead Act", na mocy którego osoby aspirujące do osiedlenia się w Ameryce mogły otrzymać za darmo od rządu USA ziemię. Co warte podkreślenia, ustawa ta zaproponowana została w Kongresie przez republikanów.

Promował on również budowę transkontynentalnej kolei ze wschodu na zachód, która miała wspierać osadnictwo na tzw. „dzikim zachodzie". Dzięki temu sytuacja

klasy średniej uległa znacznej poprawie – na zachodzie czekały bowiem ogromne możliwości rozwoju – zarówno w rolnictwie, jak i w handlu. Budując kolej Lincoln zadbał również o interes narodowy całego państwa – poprzez zwiększanie osadnictwa, przesądził o ciągle wówczas niepewnej przynależności zachodnich stanów do unii.

Dziś, po ponad 150 latach od tamtych wydarzeń, chybione wydają się oskarżenia, które często towarzyszą analizie prezydentury Lincolna, jakoby jego posunięcia miały populistyczne podłoże. Nawet, jeśli tak było, – choć dziś nie jesteśmy tego w stanie rozstrzygnąć – z dzisiejszej perspektywy mniej istotne są intencje prezydenta Lincolna od efektów, jakie przyniosły jego rządy. Jego działania pozwoliły milionom ludzi, z których wielu pochodziło z biednych części Europy przemienić swoje życie i odnieść sukces. Na straży tego właśnie „amerykańskiego snu" chce stać partia republikańska. Aby tak było musi ona zatem niezwłocznie na swoich sztandarach zrobić miejsce dla Abrahama Lincolna, nawet, jeśli miałoby się to odbyć kosztem tak popularnego w środowisku konserwatystów Ronalda Reagana. Wydaje się, że GOP powoli zmierza w tym kierunku. Świadczy o tym postawa republikanów w batalii stoczonej z demokratami, na czele z prezydentem Obamą, o uniknięcie tzw. „klifu fiskalnego" (*fiscal cliff*) – z końcem roku wygasły ulgi podatkowe uchwalone jeszcze za prezydentury George'a Busha Jr. Część republikańskich kongresmenów po ponad dwóch miesiącach sporów oraz wbrew większości partyjnych kolegów poparła bowiem podwyżkę podatków dla najbogatszych. To bardzo ważny kompromis, który pozwolił uchronić gospodarkę USA przed kolejną recesją, a Amerykanów przed drastyczną podwyżką podatków dla wszystkich, w tym najuboższych i klasy średniej, przy jednoczesnych cięciach wydatków z budżetu federalnego.